

Wspomnienia (cz. 8)

Z kim mamy do czynienia – czyli powrót ojca. Studia na WSNS

W pięćdziesiątym ósmym roku, będąc już zastępcą redaktora naczelnego *Panoramy Północy*, pełniłem zarazem obowiązki sekretarza SSK *Pojezierze*, nadzorując niejako całość prac związanych ze Stowarzyszeniem. Któregoś pięknego dnia pojawił się u mnie pewien kudłaty brunet niewielkiej postury i przedstawił się jako funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa. Oświadczył, że ponieważ *Pojezierze* ma ambitne plany prowadzenia działalności turystycznej, czyli będzie oferowało usługi turystom zagranicznym, oni w SB są naszą działalnością zainteresowani. On będzie mnie co jakiś czas odwiedzał, by dowiedzieć się, co i jak. Oczywiście, nie byłem tu żadnym wyjątkiem. W podobnej sytuacji znajdował się każdy, kto był na jakimkolwiek kierowniczym stanowisku. Kierownicy przedsiębiorstw, liderzy organizacji społecznych itd. musieli przyjmować panów z bezpieki, odpowiadać na ich pytania, udzielać im informacji. Nie mogłem mu przecież powiedzieć „Wynoś się pan!” To było po prostu nie do pomyślenia.

Aliści wkrótce sprawa skomplikowała się. Pod koniec pięćdziesiątego ósmego roku otrzymałem ze Szkocji alarmujący list od ojca, adresowany już bezpośrednio do mnie. Pisał, że stracił pracę, czuje się zmęczony i chciałby na stare lata wrócić do Kraju. Niestety, konsul polski w Glasgow wątpi, czy może mu udzielić wizy wjazdowej. Prócz „przewinień” takich jak służba w amerykańskich Kompaniach

Wartowniczych i armii Andersa we Włoszech oraz pozostanie na Zachodzie po wojnie, ojciec miał dodatkowy powód do obaw. Jeszcze w Oflagu poróżnił się z generałem Kuropieską, który komunizował i namawiał oficerów do powrotu do kraju. Ojciec przeciwstawiał się temu. Zaistniała scysja, w czasie której omal nie doszło do bójki. Ojciec jakoby popędził owego Kuropieskę z krzesłem czy żelazem w rękę.



Witold Kurowski (z lewej) w Kompaniach Wartowniczych we Włoszech, 1945
Witold Kurowski (left) in US troops, Italy 1945

Odpisałem, zachęcając ojca do powrotu. On z kolei nadał, że konsul formalnie odmówił mu prawa przyjazdu do kraju. Jeśli będzie to konieczne, to on zostanie w Anglii, ale czy ja mógłbym mu w tej sytuacji jakoś pomóc. Sprawa wyglądała dość beznadziejnie. Poprosiłem ojca, by obszernie opisał wszystko, co w jego przekonaniu mogło być przyczyną odmowy konsula. W odpowiedzi otrzymałem długi list, z którego wynikało tyle, iż ojciec należał do antykomunistycznej emigracji wojskowej, czyli tej części Polonii, która odżegnywała się od jakiegokolwiek współpracy z konsulatami i ambasadami. Tak się złożyło, że następna wizyta pana z SB zbiegła się z ostatnim listem ojca. To był już początek pięćdziesiątego dziewiątego roku. Kiedy więc ów niepozorny brunet znów pojawił się u mnie, powiedziałem mu: — Wie pan, mam taki osobisty problem. Mój ojciec stara się o wizę powrotną do Polski, ale daremnie, bo konsul nie chce mu jej wydać. Czy możecie tu coś pomóc?

— Być może tak, ale w tej sprawie musimy osobno spotkać się i porozmawiać.

Wyzaczył mi termin spotkania w Hotelu Warmińskim. Stawiłem się punktualnie. Znalazłem się w standartowym pokoju hotelowym, z nieposłanym łóżkiem. Facet już tam był. — Możemy ułatwić powrót ojca do kraju — powiedział, — ale jest warunek — tu wyciągnął papier. — Podpisze pan pewne zobowiązanie.

— Jakie zobowiązanie?

— Że pan będzie z nami współpracował.

— Nie — odpowiedziałem.

— Ale sformułujmy to dokładnie. Pan jest sekretarzem zarządu głównego, a tu są kontakty niemieckie. Napiszmy sformułowanie, że pan będzie z nami współpracował.

Nie pamiętam dokładnie, jak to było zredagowane, dość, że dotyczyło ściśle i wyłącznie spraw niemieckich. W wypadku otrzymania jakichkolwiek sygnałów, że niemiecki rewanżyzm zagraża interesom Polski, miałem udzielać informacji Służbie Bezpieczeństwa. Wydało mi się to w miarę niewinne, więc podpisałem. Fakt, że ostrze owej współpracy miało być wyraźnie anty-niemieckie, skierowane przeciwko rewanżystom z Zachodnich Niemiec, słodził jakby moją gorycz, że w ogóle muszę cokolwiek podpisywać.

Sprawa niemiecka była przedmiotem ostrej kampanii propagandowej w Polsce. Gomułka bardzo chętnie posługiwał się argumentem niemieckiej groźby. W celu przywołania narodu do porządku w jakiegokolwiek sprawie, trzeba było posłużyć się straszakiem. Głoszono zatem, że jedynym gwarantem naszego bezpieczeństwa jest Związek Radziecki, bez przyjaźni z którym dawno już byśmy nie istnieli, bo polknę-



Polska emigracja wojskowa w Anglii, 1946. W środku: General Stanisław Maczek (Witold Kurowski z prawej)
 Polish army-immigrants in England, 1946. Center: Gen. Stanisław Maczek; right: Cpt. Witold Kurowski

liby nas zachodni Niemcy rewanzyci. W okresie Gomułkowskim było nieco wolności, ale zawsze pod groźbą zachodniemieckiego militarizmu. Znacznie już później, jakaż to była wściekłość Gomułki i aparatu partyjnego z powodu listu biskupów polskich do biskupów niemieckich, ze słynnym: "Przebaczamy i prosimy o przebaczenie"! Przecież to była zdrada, wręcz wypowiedzenie wojny Gomułkowszczyźnie! Nawiasem mówiąc, po liście biskupów ukazał się w *Panoramie Północy* bardzo eksponowany (na trzeciej stronie) artykuł obrzucający Wyszyńskiego od najgorszych; ze zdjęciem kardynała. Napisał go kolega, który urodził się w Bydgoszczy i znakomicie znał język niemiecki – i który ongiś donosił, że moje reportaże są nieprawdziwe². Wszystko to ilustruje, jak nawet komuniści-nacjonaliści rozumieli interesy narodowe. W jednym z moich felietonów pisałem o słynnym liście Moczara do biura politycznego, w którym ów oznajmił – tłumacząc się z ewentualnych sympatii dla nacjonalistycznego odchylenia Gomułki – że dla komunistów Polska i polski patriotyzm to tylko przykrywa, ponieważ "naszą rzeczywistością ojczyzną jest Związek Radziecki". Dodawał przy tym, że choć dziś nasza granica jest za Berlinem, jutro będzie w Hiszpanii.

Niezależnie od tego, czym akurat żyły aparat i propaganda, ja sam nigdy nie czułem ciężaru groźby ani spraw niemieckich; te rzeczy nie były przedmiotem moich szczególnych zainteresowań. Niemieckiego języka nie znałem kompletnie, a literaturę dość pobieżnie – poza paroma autorami, na przykład zaczytywałem się w Mannie. Wiedziałem oczywiście, że Niemcy to straszny wróg, słyszałem o okropnościach, jakie wydarzyły się w kraju, mnie to jednak jakby nie dotyczyło bezpośrednio. Owszem, ojciec mój spędził pięć lat w oflagu, ale na warunkach jakiejś tam

konwencji, której zobowiązań dotrzymano. W niewoli cierpiał głód, lecz dopiero wtedy, gdy samym Niemcom było ciężko i nie mieli co jeść. Ojciec niewolę przeżył.

Na mnie natomiast ciążyło to, co pamiętałem z Sowietów – obraz tamtego kraju, tamtych doświadczeń. Sny, które miewałem, zawsze koncentrowały się na tym. Niemców widziałem tylko i wyłącznie na Ukrainie, kiedy jako dziecko byłem furmanem i jeździłem z agronomem do miasteczka. Agronom szedł załatwiać sprawy, a ja zatrzymywałem się przy dworcu. Ciągnęły tam transporty niemieckich jeńców. Byli obdarci, w strzępach uniformów. Nikt ich nie pilnował, ponieważ tam nie było dokąd uciec. Rozłazili się po peronach, zbierali z ziemi niedopałki papierosów. Kilka razy podchodzili do mojej dwukółki pytając, czy mam zapalniczkę. Ja dawałem im trochę swojej machorki. Raz dałem im kawony, czy kanapki, które wyjąłem ze skrzynki. Potem musiałem się z tego tłumaczyć przed agronomem, ale on to zrozumiał, bo był dobrym człowiekiem.

W każdym razie, podpisałem zobowiązanie o współpracy z SB. — Zrobimy, co będziemy mogli w sprawie ojca — obiecał mi ów niepozorny brunet. Ja natomiast, aby niczego nie zaniedbać, zaalarmowałem korespondenta *Panoramy Północy* nazwiskiem Ciacek, który w Sztokholmie pełnił rolę attaché (kulturalnego czy prasowego): "Słuchaj, chłopie, czy mógłbyś pomóc, może przez kogoś w MSZ? Może poradzisz, jak złamać owego konsula?" Ciacek wpięrowo odpisał, że spróbuje pomóc, później powiadomił mnie: "Moja pomoc nie jest już potrzebna, bo tu inne siły się włączyły i wszystko jest na dobrej drodze." Wynikało z tego – i było tajemnicą poliszynela – że Wydział Konsularny w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przynajmniej w trzech czwartych

obsadzili oficerowie Służby Bezpieczeństwa (wywiadu, kontrwywiadu). Ów niepozorny człowieczek zrobił swoje, ojciec otrzymał zgodę na powrót.

Jesienią pięćdziesiątego dziewiątego roku mój ojciec, Witold Kurowski przyjechał do Gdyni. Ostatni raz widziałem go w trzydziestym dziewiątym, spotykaliśmy się więc dokładnie po dwudziestu latach rozłąki. Nastąpiło wielkie powitanie – po czym ojciec rozpoczął nowe życie w Polsce. W chwili przyjazdu miał pięćdziesiąt siedem lat. Ponieważ znał *perfect* angielski, rosyjski i ukraiński (bądź co bądź kończył gimnazjum rosyjskie w Kijowie), bardzo szybko dostał propozycję pracy w charakterze lektora w Oficerskiej Szkole Uzbrojenia w Olsztynie. Zbiegiem okoliczności, komendantem OSU był generał brygady Wójcicki, z którym ojciec pokłócił się ongiś w podchorążówce. Obecnie ów Wójcicki zaproponował ojcu pracę. Żeby dopełnić pointy, ówczesnym komendantem okręgu wojskowego, któremu Olsztyn podlegał (warszawski okręg wojskowy), był generał Kuropieska, z którym ojciec spierał się w oflagu na tematy polityczne. Ma się rozumieć, Kuropieska wrócił do kraju znacznie wcześniej, bezpośrednio z niewoli.

Ojciec był szczęśliwy, że uczy podchorążych języków i znów jest przy wojsku. Udzielał też prywatnych lekcji angielskiego. Urządził się całkiem nieźle i żył wygodnie do samego końca. Kilka razy podejmowałem z nim rozmowę, by uświadomić mu cenę, jaką zapłaciłem za umożliwienie mu powrotu do kraju – dla mnie w końcu uciążliwą. Bądź co bądź uwikłałem się w sprawę, z której nie miałem wyjścia. Nigdy jednak nie zdobyłem się na to, aby ojcu powiedzieć to wprost. Nikt z mojej rodziny, ani moja żona Halina, ani syn, ani córka nie wiedzieli o mojej współpracy z SB.

Niepozorny brunet pojawił się jeszcze dwukrotnie. Niedobrze, bo pierwszym zadaniem, które otrzymałem – sformułowanym zresztą w postaci grzecznej prośby – było, abym napisał charakterystyki dwóch kolegów, którzy zapowiadali, że chcą wyjechać turystycznie do Niemiec. Tego rodzaju wyjazdy zdarzały się wówczas bardzo rzadko. Miałem napisać, co sądzę o Zbigniewie Nowackim i Romanie Koguckim – czy oni dają gwarancję powrotu, czy nie wybiorą wolności. Przyznaję się, że zrobiłem to – oczywiście w taki sposób, aby im broń Boże nie zaszkodzić. Jeżeli owe charakterystyki się gdziekolwiek zachowały – o czym nie wiem, nie chcę wiedzieć, nie interesuję się tym – to były napisane w taki sposób, by nie zaszkodzić. Aby oni mogli wyjechać. Gwarantowałem,

że nawet jeśli oni mówią czasem: „A, pojedę i wybiorę wolność”, to są żarty, których nie należy traktować poważnie. Był to jedyny raz, kiedy poproszono mnie o tego rodzaju przysługę. Ów pan z legitymacją nigdy się już potem nie pojawił.

*

Od wczesnej jesieni pięćdziesiątego dziewiątego roku miałem rozpocząć studia w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR. Skierowano mnie tam cudem; mam wrażenie, że był to rezultat zakulisowych działań przyjaciół mojej matki. Pewną rolę odegrał w tym też Bronisław Gołębiowski, który był wówczas w Wydziale Prasy KC. Jako instruktor niewiele mógł zdziałać, trochę jednak pomógł. Dość, że nagle powiadomiono mnie, iż oto jest szansa, abym rozpoczął studia. Musiałem stanąć do egzaminu wstępnego. Część pisemna była z historii, temat: uwłaszczenie, czyli likwidacja pańszczyzny na terenie byłej Rzeczypospolitej, w zaborach rosyjskim, pruskim i austriackim. Nie bardzo wiem, skąd pamiętałem daty i szczegóły, ale napisałem znakomitą pracę. Egzamin ustny był z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Przepytałem Karol Grynberg, mój wykładowca jeszcze z rocznej szkoły dziennikarskiej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich³, obecnie adiunkt na WSNS. Po egzaminach zostałem wezwany przed oblicze prorektorki, pani Celiny Budzyńskiej, która wyraziła zachwyt dla jakości mojej pracy i wyników egzaminu. Powiedziała, że bardzo chciała mnie poznać, że wiąże z moją osobą rozliczne nadzieje teraz i po ukończeniu studiów. Nasza rozmowa była kurtuazyjna, a zarazem ciepła, ponieważ Celina Budzyńska była osobą bardzo ludzką, pełną dobrej woli i komunikatywną, nie pasującą do stereotypu kostycznych, zaślepionych ideologią komunistów. Należy dodać, że jej mąż, Stanisław Budzyński, wraz z innymi komunistami polskimi został w okresie międzywojennym wezwany do Moskwy. Komintern miał taką siłę. Tam Budzyńskiego oskarżono, skazano w jednym z fabrykowanych procesów i stracono. Sama Celina Budzyńska ocalała ze stalinowskiego pogromu.

W październiku rozpocząłem więc studia na wydziale historyczno-socjologicznym WSNS. W tymże roku po raz pierwszy uruchomiono kierunek socjologii kultury, na którym znalazłem się wraz z ośmiorgiem innych studentów. Jego kierownikiem był Jerzy Kossak, socjolog, były publicysta *Po Prostu*, bardzo znakomity dziennikarz (który potem zupełnie się gdzieś zgubił). Po pewnym czasie pani Celina Budzyńska wezwała mnie ponownie. Oświadczyła, że



Witold Kurowski jako wykładowca w OSU

Witold Kurowski teaching English in Oficerska Szkoła Uzbrojenia (military academy for officers), ca. 1961

Komitet Wojewódzki w Olsztynie zażądał relegowania mnie ze szkoły, ponieważ nikogo z wodzów olsztyńskich nie pytano o zdanie w kwestii przyjęcia mnie na studia. — Powiedźcie, towarzyszu, jaka może być przyczyna takiego stanowiska? — zapytała Budzyńska. Opowiedziałem jej uciążliwie o swojej działalności październikowej, o wypisaniu podczas wiecu nazwisk paru towarzyszy, którzy moim zdaniem powinni byli ustąpić ze swych stanowisk; wreszcie o mojej publicystyce w *Warmii i Mazurach*. Prócz reportażu „Śladami bosych stóp” miałem i inne publikacje, które mogły budzić wątpliwości. Ukazały się w druku dziełki dezorientacji cenzury. Celina Budzyńska poprosiła mnie, bym przywiózł jej zszywkę pisma. Zrobiłem to, po czym miałem czekać na wynik. Ona po pewnym czasie powiadomiła mnie, że sytuacja się uspokoiła i mogę bez przeszkód kontynuować studia.

Dostałem bardzo wysokie stypendium. Reguły gry na owej uczelni były takie, że studenci – przeważnie ludzie z aparatu partyjnego – otrzymywali stypendium w wysokości swych zarobków w Komitecie wojewódzkim, czy powiatowym. Ponieważ moja gaża była duża z powodu przysługującej nam w *Panoramie Północy* najwyższej tabeli (plus wierszówka), na tej zasadzie otrzymałem znakomite wyposażenie.

Ciekawostka, że WSNS była zlokalizowana w tymże samym budynku, w którym mój ojciec przed wojną studiował w szkole podchorążych artylerii konnej. Dla osób, które chciały się uczyć, studia na WSNS-ie prowadzone były bardzo przyzwoicie. Oprócz normalnego kursu, który obowiązywał wszystkich słuchaczy Wydziału Historyczno-Socjologicznego, na kierunku socjologii kultury mieliśmy dodatkowe zajęcia, na przykład historię sztuki

(z ćwiczeniami), wykład monograficzny poświęcony teorii literatury; historię literatur narodowych, czy zajęcia z literatury powszechnej – w ujęciu monograficznym, ale jednocześnie bardzo uszczegółowione. Wydziałem Socjologicznym kierował Zygmunt Bauman (u którego zresztą zdałem egzamin z socjologii), a więc niezłe nazwisko. Jeśli idzie o filozofię, adiunktem był dzisiejszy profesor Adam Sikora, człowiek bardzo wielkiej zacności. Nie pamiętam, kto był szefem katedry filozofii, to nie było jakieś bardzo ważne nazwisko.

Polityką pani Celiny Budzyńskiej było, aby na studiach z socjologii kultury znaleźli się najzdolniejsi słuchacze. Być może to ona właśnie zdecydowała, po moim błyskotliwym egzaminie wstępnym, że znalazłem się na kierunku kulturalnym. Oddałem się studiom entuzjastycznie i z całym poświęceniem. Czytałem znacznie więcej, niżli to było przypisane w ramach kursu. Na przykład, bardzo starannie studiowałem filozofię. Czytałem też wszystko, co dotyczy teatru: historia, teoria, Craig. Teatr to była moja miłość. Jeszcze przed rozpoczęciem studiów zdarzało mi się pisywać recenzje teatralne w *Warmii i Mazurach*, a wcześniej w *Głosie Olsztyńskim*. Chodziłem do teatru, pragnąłem być krytykiem teatralnym. Ale oczywiście poza kulturą nie wykluczałem innych rodzajów działalności dziennikarskiej. Jak wspominałem, prowadziłem w tym czasie rubrykę aktualności politycznych. Według mnie dziennikarz to ktoś, kto w razie potrzeby potrafi podjąć jakkolwiek aktualny temat, szybko przystosować się do jego wymagań, douczyć się.

Jeśli chodzi o języki, miałem ma WSNS dwie lektorki języka angielskiego, panią Techniczek i panią Szkutnik (żona

Ludwika Szkutnika). Ponieważ solidnie przykładałem się do nauki, pani Technik uznała po prostu, że znam angielski. Rosyjski natomiast miałem tylko przez pierwszy rok. Zmusiła mnie do tego rusycystka, lecz potem uznała, że znam język i niczego więcej w jej klasie się nie nauczę. Ów rok to miało być przypomnienie.

Nawet robiąc o wiele więcej niżli ode mnie formalnie oczekiwano, znajdowałem czas na rozrywki. Prócz stypendium dodatkowo zarabiałem wierszówkami, chadzałem więc sobie w weekendy po kosztownych knajpach, takich dla wybrednych gości. Dużo grywałem w szachy i w brydża.

Tak się studiowało.

Nie obeszło się na studiach bez dość ostrego zwarcia. Mianowicie na jednym z zebrań organizacji partyjnej roku, kiedy to mieliśmy wybierać nową egzekutywę, podniosłem rękę i zgłosiłem sprzeciw wobec kandydata nazwiskiem Ławrynowicz czy Łazarewicz, który przy moich kolegach oświadczył, że wszyscy brodacze to rewizjoniści i należałoby z nimi zrobić porządek, to znaczy kazać im zgolić brody. To oczywiście odnosiło się to do mojej brody, jak zwykle. Oznajmiłem, że jego słowa przypominają mi opowieść o pewnym gubernatorze rosyjskim z Kielc (czy z Radomia?), który wydał rozkaz, by zgolić brody wszystkim podejrzanym, ponieważ wśród brodaczy jest najwięcej konspiratorów. To jakby sądzić, że poprzez zgolenie bród można się pozbyć konspiratorów! Rzecz w tym, iż było zupełnie nie do pomyslenia, aby na jakichkolwiek wyborach partyjnych oprotetstawać jakąkolwiek postacią. Zrobiła się awantura. Ktoś pobiegł po Celinę Budzyńską, ta nadeszła, nastąpił pyskówki ciąg dalszy. Wszelako, gdy przyszło do głosowania, facet w wyborach przepadł. Pewnie potem ten czy ów nie mógł mi tego darować.

Skończyłem studia⁴ jako piątkowicz, z wyróżnieniem. W nagrodę znalazłem się w grupie prymusów (byli w niej praktycznie wszyscy z socjologii kultury), dla których zorganizowano dwutygodniową⁵ wycieczkę do Moskwy-Leningradu. Łączyło się to z gością w Wyższej Szkole Partyjnej – tak zwanej We-Pe-Sza (*Wiszszaja Partijnaja Szkola*) – w Moskwie, przy Komitecie Centralnym KPZR. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa wracałem do Sowietów. Tym razem jednak mój pobyt,



Narada dziennikarzy „Panorama Północy” (1958). Od prawej: Bohdan Kurowski, Włodzimierz Karcki, Henryk Świącicki

Editors of *Panorama Północy*; BK on the right. 1958

aczkolwiek ograniczony do Moskwy i Leningradu, wiązał się ze zwiedzaniem i fetowaniem. Były spotkania z kadrami naukową uczelni, choć nie ze studentami. Dyskusje z profesorami i docentami We-Pe-Sza były dla nas kompletnym szokiem. Jeśli chodzi o filozofię marksistowską, my byliśmy po lekturze Krońskiego, interesowaliśmy

się i zachwycali młodym Marksem, roztrząsaliśmy dylemat Friszke “jednostka, a problemy alienacji”; poszukiwaliśmy marksistowskiego klucza do zrozumienia wyobcowania człowieka. Szukaliśmy pomostu między marksizmem a egzystencjalizmem, zarówno w wydaniu Sartréowskim, czy Camusowskim, jak i w wydaniu Jaspersa, a nawet personalizmu katolickiego. Rozpatrywaliśmy na gruncie marksizmu problemy, które podnosił Kierkegaard. Tymczasem okazało się, że dla profesorów WPS w Moskwie nic z tego nie istniało. Nie podejmowali żadnych wycieczek w stronę egzystencjalizmu; nie znali różnicy między młodym a starym Marksem – dla nich był to monolit. Jeden z nich, bojąc się rozmowy publicznej, zwrócił się do mnie: — *Znajesz, ja ciebie prziglasz do mojej i takiej my pobiesiediem. Ale proszę cię, nie podnoś takich tematów tutaj.*

Jednak nigdy mnie do siebie nie zaprosił. W sumie mieliśmy wrażenie, że przybywamy z innego świata, jako nowa kadra światłych marksistów – podczas gdy w Rosji wciąż panuje absolutny rewizjonizm, „średniowiecze”.

Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego.

Spisanie oraz redakcja tekstu:

dr Joanna Kurowska

1. List-oreddie biskupów polskich do niemieckich z dnia 18 listopada, 1965 roku, wzywający do pojednania polsko-niemieckiego po II wojnie światowej.

2. Sprawę tego donosu (obalonego jako bezpodstawny) oraz udział w nim owego kolegi (Janusza Brylińskiego) B. Kurowski szczegółowo opisuje we wcześniejszym rozdziale *Wspomnień*, dotyczącym okresu pracy w *Głosie Olsztyńskim*.

3. W owej rocznej szkole, tzw. „Litwinówce”, Bohdan Kurowski studiował w roku akademickim 1953/54.

4. W czerwcu 1962.

5. „Trzytygodniowa” w wywiadzie udzielonym Jarmo Jääskeläinen w 1990 roku.